

MYŚL POLSKA

TYGODNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO W ZAKRESIE
POLITYCZNYM, SPOŁECZNYM, NAUKOWYM, LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Cena ogłoszeń: 20 kop. za wiersz petitowy lub jego miejsce w zwykłej szpalcie. Zmiana adresu 20 kop.	WARUNKI PRENUMERATY:		W ŁODZI ceny warszaw- skie. Wyłączna sprzedaż w kantorze I. Sutorow- skiego, Piotrkowska 8.
	W WARSZAWIE:	Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:	
	rocznie rb. 8.—	rocznie rb. 9.—	ZBIORU Nr. 55.
	półrocznie " 4.—	półrocznie " 5.—	
	kwartalnie " 2.—	kwartalnie " 2,50	
	Odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.		

Adres Redakcyi i Administracyi: Włodzimierska 6. telefon 65.71.

Cena numeru 20 kop.

TREŚĆ NUMERU:

- J. Bohuszewicz*: Nowy program demokracji „skoncentrowanej”.
Stefan Dzierwulski: Budżet Królestwa Polskiego.
Fr. Bujak: Rumunia. (c. d.)
Tadeusz Konczyński: Wyspa Smutku. (Opowieść fan-
tastyczna). (c. d.)
Wł. Jabłonowski: Szlakiem tęsknoty.
Z. Balicki: Jana Stanisławskiego wystawa pośmiertna.
Z tygodnia.
Uwagi.
Varia.
Nowe książki.

NOWY PROGRAM DEMOKRACJI „SKONCENTROWANEJ”.

Liberalizm polski zdobył się na jeszcze jeden plód w zakresie twórczości politycznej. Demokraci skoncentrowani krakowscy, stronnictwo odpowiadające naszej demokracji postępowej, wydali swój nowy program polityczny. Dotychczasowy ich program polityczny, program z roku 1900, który w dziwny sposób umiał godzić lojalizm wobec państwa austriackiego¹⁾ z szeregiem postulatów iście narodowych, przestał zadawałać już samych twórców. Uczuli więc konieczność rewizji nie tylko postulatów i żądań, ale też nawet ha-
seł i zasad podstawowych. Na tem tle powstał

program nowy, z którym nie zawadzi zapo-
znać się społeczeństwu i po tej stronie kordo-
nu, by zdać sobie sprawę, do czego dochodzą
stronnictwa, nie posiadające realnego odpowie-
dnika w aspiracjach i interesach społecz-
stwa, stronnictwa powstałe na tle pewnych
formulek i doktryn w warunkach życia kon-
stytucyjnego i jawnej akcji politycznej.

Chcąc krytykować ten program należy
rozpatrzyć go z dwu stron. Należy uwzględ-
nić przedewszystkiem czego w nim niema,
a co w każdym polskim programie politycznym
być powinno, z drugiej strony należy uwzględ-
nić to, co jest, i zdać sobie sprawę z rzeczy-
wistej wartości wypowiedzianych tam postu-
latów. A więc przedewszystkiem w całym
programie niema ani słówka o tem, co powin-
no stanowić najistotniejszą treść każdego pro-
gramu politycznego, nie wypowiedziano ani
jednej myśli, żadnego poglądu na świat na
rozwój i życie ludzkości, niema tego co sta-
nowi historyozofię i poniekąd socyologię kie-
runku. Pominęto dalej zupełnem milczeniem
kwestyę niepodległości i wogóle wszelkich
nowszych aspiracji i ideałów narodowych.
Nie wspomniano nawet o położeniu politycz-
nem narodu naszego, nie wypowiedziano ża-
dnego poglądu w tej kwestyi, a nawet nie
starano się określić stosunku, jaki zachodzi
między rozebranymi trzema częściami narodu
a państwami zaborczemi, w szczególności
między zaborem a państwem Austriackiem.
Mogą o tem nie mówić stronnictwa, które ma-
ją poza sobą już dość szeroko rozwiniętą lite-
raturę polityczną, które prowadzą lub prowa-
dziły poważne miesięczniki polityczne, u któ-
rych wszystkie te kwestye są już dostatecznie
omówione i przedyskutowane, ale nie stron-
nictwo, którego cała literatura polityczna spro-
wadza się do artykułów dziennikarskich „No-
wej Reformy“, wymyślających wszystkim w ogól-
ności i każdemu w szczególności, nie porusza-
jących natomiast nigdy kwestyi zasadniczych.
W takich wypadkach należy skorzystać z oka-
zyi wydania nowego programu, należy rzucić
społeczeństwu wiązanke myśli głębszych, na-
leży odsłonić i dla stojących poza stronnict-

¹⁾ „Oparci o stosunek wzajemnej ufności mię-
dzy koroną, która uznała nasze prawa narodowe,
a krajem który w poczuciu własnego interesu narodo-
wego i wspólności jego z interesem państwa stanął
na gruncie polityki państwowej, starając się, z całą
ofiarnością o rozwój wszystkiego co może wzmocnić
potęgę państwa, dążyć musimy“ i t. d.

„Gotowi do ofiar na rzecz mocarstwowego sta-
nowiska monarchii, gotowi do uznania wszystkiego,
czego istotnie całość i jedność państwa wymaga, do-
magać się musimy i t. d.“ (prog. r. 1900).

twem swój dorobek w dziedzinie myśli politycznej za okres czasu od wydania jednego programu do drugiego. Jakże się przedstawia ten dorobek u skoncentrowanych demokratów? Jedyne paragrafem dotyczącym tej kwestii jest paragraf pierwszy, który powiada: „Uważając odrodzenie narodowe za najwyższy cel swej działalności i głęboko wierząc, że tylko własną siłą naród nasz osiągnąć je może, dąży Polskie Stronnictwo Demokratyczne¹⁾ do wytworzenia takich warunków rozwoju i postępu społecznego, któreby kulturalny i ekonomiczny rozkwit narodu naszego, a tem samem największe wzmocnienie sił jego, zapewnić zdołały“. W tem się streszcza cała historyozofia i cały dorobek umysłowy stronnictwa, jaki od czasu swego powstania zdobyło. Jedynie rzeczowe i wyraźne jest tu wypowiedzenie się, że przyszłość swą i swe nadzieje możemy opierać tylko na siłach własnych—rzecz, o której już dawno wiadano i nad którą w dyskusji niejedną flaszkę atramentu wypisano. Wszystko inne jest wieloznaczącym, ale zarazem nic nie mówiącym frazesem, pod którym może podpisać się każdy—od stańczyka i ugodowca aż do socjalisty polskiego włącznie.

Jeśli teraz zechcemy spojrzeć na ten program z drugiej strony, jeśli zechcemy poddać rewizji to wszystko, co się w nim zawiera, to spostrzeżemy ogromne pomieszanie pojęć państwa i narodu, praw i obowiązków w stosunku do jednego i do drugiego. Doktryna liberalna, tak jak i socjalistyczna, jest jedną wielką apoteozą państwa. Robiono z niego panaceum na wszystkie bóle i dolegliwości ludzkości. Postęp nauki i szereg najnowszych badań iście naukowych ogromnie zachwiały i wprost podminowały tę teorię, a rozwój demokracji na Zachodzie sprowadził państwo do roli czynnika, dopełniającego samorządność inicjatywę społeczeństwa, do roli regulatora stosunków poszczególnych części społeczeństwa do siebie i stróża bezpieczeństwa publicznego. W tych warunkach czytamy jeszcze dziś różnych hymnów i apoteoz państwa musi nieprzyjemnym zgrzytem odbić się, w umyśle każdego człowieka cywilizowanego. Tem nieprzyjemniejszym musi być ten zgrzyt w umyśle i sercu każdego Polaka, bo przecież to państwo, które się apoteozuje, jest naszym wrogiem, jest tem, co pozbawiło nas samoistnego bytu politycznego, co wykoleiło cały nasz rozwój narodowy, co przez szeregi lat niszczyło, a jeszcze i dziś niszczy, nasz dorobek cywilizacyjny, nasze skarby duchowe i materialne, nasz rozwój ekonomiczny; jest na koniec czynnikiem zaprzeczenia nam praw do samoistnego bytu politycznego. Tymczasem demokracja skoncentrowana ciągle, bodaj że od pierwszej do ostatniej stronicy, odwołuje się do tego państwa. Żąda od niego upaństwowienia „wszystkich instytucji zarobkowych, mających charakter publiczny“, w każdej sprawie społeczno-ekonomicznej apeluje do niego. Wypowiada nawet takie zdanie: „Prawo do życia przynosi z sobą każdy człowiek na świat. Zabezpieczyć tedy każdemu minimum warunków, do utrzymania życia

niezbędnych, jest elementarnym obowiązkiem państwa“.

Po tem wszystkiem jednak (na str. 4) mamy ustęp taki, który wszystkich nas musi wprawić w ogromne zdumienie. Czytamy tam: „Staramy się równocześnie rozwijać i wzmacniać w społeczeństwie naszym zmysł asocjacji i kooperacji, aby je w ten sposób wdrożyć do samoobrony i pracy zbiorowej, która w dziedzinie reform społecznych i ekonomicznych może być *jedynie* skuteczną“. Zdumiony czytelnik musi teraz siebie zapytać: Cóż jest w końcu tem panaceum jedynie skutecznem? czy to państwo, do którego się ciągle apeluje, czy ta inicjatywa społeczna, o której się mówi? Ale nie koniec na tem. Program oczywiście wygłasza hasło wolności i równości. I to równości takiej, która „musi z abstrakcyjnego pojęcia przemienić się w fakt realny“, zapominając zupełnie o tem, że równość taka, bodaj że równość mechaniczna, jest wprost zaprzeczeniem wolności, która przecież wymaga pewnej niezależności ekonomicznej i gospodarczej od ogółu. Po tem twierdzeniu na następnej stronicy znajdujemy ustęp taki: „Bronić chcemy słabszych przed silniejszymi, nie zmniejszając jednak znaczenia jednostek, które dzięki osobistym przymiotom i własnej pracy stały się silniejsze, niż inne“. A teraz pytamy: jak pogodzić te dwa zdania z sobą? Gdzie tu logika, a gdzie też demokratyzm? Litanię tych nielogiczności i sprzeczności, moglibyśmy ciągnąć bardzo daleko. Wystarczy jeszcze jeden przykład: „Nauka publiczna musi być na wszystkich stopniach i we wszystkich typach dla każdego dostępną, więc zasadniczo bezpłatną“, i to bez względu na środki finansowe, które „należy wyszukać“. Powstaje tylko pytanie, w jaki sposób? Natomiast wszechstronność i głębokość nauki i oświaty jest uzależniona od „finansowych środków społeczeństwa, kraju i państwa“, i t. d. Wreszcie program oświadcza się za autonomią Galicji, oczywiście pod tym warunkiem, że w kraju nie będą rządziły „te wszystkie grupy społeczne, które mają swój bezpośredni interes w powstrzymywaniu rozwoju i postępu społeczeństwa i kraju“. Ale najsilniejszym punktem programu jest punkt najzupełniej negatywny, zatytułowany: „Stanowisko wobec nacyonalizmu“. Przytaczam go więc w całości: „Stoimy na czujnej straży wszelkich interesów narodu polskiego, uznajemy konieczność skupienia wszystkich sił dla odparcia gwałtów, przeciw nam skierowanych, potępiamy jednak szowinizm narodowy, stanowiący istotę współczesnego nacyonalizmu, który, jako wybujałość egoizmu narodowego, upatruje największe zasługi dla siebie w krzywdzie i ucisku narodów innych, szerząc przez to spustoszenie moralne i kulturalne w narodzie własnym. Dlatego też wszystkie hasła i metody współczesnego nacyonalizmu, tego dziedzica najreakcyjniejszych tradycji przeszłości, hasła i metody dziwnie jednakowe u wszystkich, dotkniętych klęską nacyonalizmu narodów, uważamy za niemoralne, bezzasadne i bezcelowe, a szczególnie dla naszego narodu w najwyższym stopniu szkodliwe, bo przy przeciętnie niskim stopniu kultury i oświaty bardziej jeszcze, niż gdzieindziej, ogół deprawujące, z najszlachetniejszymi tradycjami polskimi jaskrawie sprzeczne, a wobec napierającego na nas

¹⁾ Tak brzmi oficjalny tytuł.

nacyonalistycznego hakatyzmu z jednej strony, a takiegoż panrusycyzmu z drugiej, pozbawiające nas jedynej skutecznej broni, t. j. głębokiego poczucia sprawiedliwości, a więc i krzywdy, i szerokiej, przez szowinizm nie zaćmionej, oświaty“.

Czegóż tu nie znajdujemy! Krytyka tego ustępu jest niepotrzebna. Świadczy on sam za siebie. Należy jednak zwrócić uwagę tylko na to, że w pojęciu demokratów skoncentrowanych w naszej walce z dążnościami wynaradawiającymi Prus i Rosji mamy tylko jedną broń, a jest nią, „poczucie sprawiedliwości, a więc i krzywdy“. Jest to rzecz, co prawda, zupełnie nowa. Wątpię jednak, by społeczeństwo polskie dało na nią swą aprobatę. Gdyby tak się stało, ogromnieby musieli być wdzięczni demokratom krakowskim hakatyści pruscy i „istunno ruskije ludi“ rosyjscy. Konsekwencją tych zasad jest stosunek demokracji skoncentrowanej do Rusinów. Wypowiada ona zdanie, że ich rozwój narodowy i kulturalny „może odbyć się bez jakiegokolwiek szkody dla polskiego stanu posiadania w Galicyi, którego uszczuplenia nie dopuszcza“, wówczas gdy jednym z największym czynników naszej przewagi w tym kraju jest nasza wyższość kulturalna. Z chwilą, gdyby Rusini nam pod tym względem dorównali, przewaga nasza byłaby wcale niepewna. Na zakończenie demokracja skoncentrowana chce się uważać za stronnictwo wszechpolskie w najszerszym tego słowa znaczeniu, nie ma jednak zamiaru organizowania ogólnej polityki polskiej, nie mówi o decydowaniu wszystkich spraw z punktu widzenia potrzeb całego narodu, natomiast ogranicza się do roli skromniejszej, bo tylko do popierania „wszystkich stronnictw demokratycznych, o ile zasady ich nie są sprzeczne“ z jej zasadami.

Przeszliśmy z kolei wszystkie najważniejsze rzeczy tego programu, widzieliśmy wszystkie nielogiczności i sprzeczności, które zawiera. Nie mówilibyśmy wcale o nim, gdyby nie był on dla nas klasycznym przykładem karłowacenia i rozkładu naszego liberalizmu domorosłego. Stronnictwo, nie mające żadnego szerszego poglądu na świat, na rozwój i dzieje ludzkości, nie posiadające żadnej szerszej idei, wkoło której mogłoby zogniskować swą myśl i politykę, nie posiadające głębszych korzeni w narodzie, w masach ludowych, nie rozumiejące swego narodu i nierozumiane przez niego—musi karłowacieć i wyradzać się. Opozycja dla opozycji musi doprowadzić do absurdu. Przychodzi czas, gdy trzeba stanąć przed społeczeństwem z programem pozytywnym, i tu musi nastąpić chwila, w której pustota i brak głębszych założeń uwydatnia się w całej pełni. Mamy tu świeży przykład. Ten przykład jest jeszcze bardziej pouczający, jeśli przypomnimy to, że program poprzedni, pomimo swych braków, pomimo lojalizmu austriackiego, stał daleko wyżej pod względem politycznym i narodowym. Ze są dziś jeszcze u nas ludzie, którzy z takim programem do społeczeństwa przychodzą, dziwić się nie należy. Czterdziestolecie śpiączki, martwoty zrobiło swoje. Ale już dziś rozbudzone życie polityczne, jak po jednej, tak i po drugiej stronie kordonu, zadaje liberalizmowi takie ciosy, że schodzi on do mary, która je-

szcze się błąka pośród żywego społeczeństwa, by niedługo rozsypać się w nicłość.

Józefal Bohuszewicz.

BUDŻET KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Spółcezeństwo nasze, odsunięte od udziału w pracach, stanowiących o opodatkowaniu i dysponowaniu groszem publicznym, odwykło od zastanawiania się nad sprawami, dotyczącymi skarbowości, i przestało rozumieć mowę cyfr.

Ostatnie wypadki polityczne bynajmniej nie wpłynęły na wzbudzenie szerszego zainteresowania sprawą finansów Królestwa i udziału Królestwa w budżecie państwa. Demoralizujący wpływ prasy codziennej sprowadził te zagadnienia do skromnej roli „nowin dnia“. Nawet wystąpienie posłów naszych w dyskusji budżetowej interesowało opinię społeczeństwa raczej jako ocena zjawisk, wywołanych efektem „dnia polskiego“, niż jako zasadnicza i odrębna sprawa finansów Królestwa, sprawa, będąca kamieniem węgielnym naszego dążenia do autonomii, sprawa, w której, jak w zwierciadle, musi się odbić siła i żywotność sił społecznych, rozmiary ponoszonych ciężarów i rezultaty finansowej gospodarki biurokratycznej, zgubnej nie tylko dla Królestwa.

Jeżeli ostatnimi czasy można nawet zauważyć, że większa liczba ludzi interesuje się sprawami, dotyczącymi naszej skarbowości, jeżeli częściej ukazują się artykuły, mające związek z naszymi finansami, to jednak trzeba od razu zastrzedz się, że sprawa nigdy prawie nie jest stawiana na szerszym gruncie, że zazwyczaj sprowadza się całe zagadnienie do znakomicie uproszczonej kwestyi: jaką jest rola Królestwa w skarbowości państwa, t. j. czy Królestwo daje przewyżki dochodów nad wydatkami, czy też niedobory?

Aby zilustrować słabe zainteresowanie naszego społeczeństwa sprawami finansowymi, wystarczy wskazać na to, że ogłoszone niedawno dwie prace: p. A. P. (wytrawnego znawcy naszej skarbowości) o „Stanie finansów Królestwa Polskiego“¹⁾ oraz posła Wł. Żukowskiego o „Udziale Królestwa Polskiego w budżecie państwowym“²⁾ — nie wywołały żadnego oddźwięku w naszej prasie peryodycznej, nie pociągnęły za sobą wyjaśnień, dopełnień, nie doprowadziły do żadnej dyskusyi. Tymczasem obie wzmiankowane prace zawierają dużo cennego materiału cyfrowego, obejmują teren dotychczas należycie nie zbadany, a wskutek specjalnych właściwości budżetu rosyjskiego bardzo nieprzystępny, i dotyczą kwestyi, której należyte zbadanie staje się niemal obowiązkiem obywatelskim.

Dla należytego zrozumienia budżetu Królestwa Polskiego, uzależnionego od budżetu

¹⁾ „Stan finansów Królestwa Polskiego“ przez A. P. („Praca“, zeszyt 2 i 3. 1907 r., dodatek do „Bibl. Warsz.“).

²⁾ „Udział Królestwa Polskiego w budżecie państwowym“ przez Wł. Żukowskiego. („Naród a państwo“, № 8, 1907 r.)

całego państwa, niepodobna nie rozpatrzyć tych podstaw, na których opiera się budżet ogólny, tembardziej, że cyfry te są bardzo wymowne i że nawet profan może dostrzedz odrazu wzajemne oddziaływanie sfery budżetowej na sferę gospodarki ogólnej.

W 1888 r. przewyżka dochodów nad wydatkami w całym państwie dosięgła 53 mil. rubli, w 1890 r. — 60 mil. rubli, w 1893 r. — 93 mil. rubli, a w 1894 r. aż 163 mil. rubli. Zatem zamknięcie rachunków skarbu, dotyczących zwyczajnych dochodów i wydatków, wypadło stale pomyślnie. Wszakże rezultat zamknięcia rachunków skarbu przybiera zupełnie inną postać, gdy uwzględnimy dochody i wydatki budżetu nadzwyczajnego. Przewyżki dochodów ustępują miejsca deficytom, pokrywany drogą „operacji finansowych“ (czytaj: pożyczek, zaciąganych przeważnie zagranicą). Tak naprz. w 1900 r. przewyżka w budżecie zwyczajnym nie wystarczała na pokrycie deficytu w budżecie nadzwyczajnym, który doszedł do sumy 300 mil. rubli, gdy przewyżka w dochodach zwyczajnych stanowiła tylko 149 mil. rubli; w 1904 r. budżet zwyczajny dał przewyżkę nad wydatkami w sumie 125 mil. rubli, ale deficyt w budżecie nadzwyczajnym równał się aż 446 mil. rubli.

Wogóle w ciągu ostatniego pięciolecia wydatki nadzwyczajne nie tylko pochłonęły całą zwykłą dochodów zwyczajnych nad wydatkami (t. j. sumę 741 mil. rubli), ale nadto powiększyły odłożenie państwowe z 6,4 miliardów do 7,85 miliardów i pozostawiły na dzień 1 stycznia 1906 r. około 289 mil. rubli niczem niepokrywającego się deficytu.

Cyfry powyższe wykazują, że można nawet z pewnem powodzeniem prowadzić przez czas dłuższy finansowe gospodarstwa państwowe bez uwzględniania potrzeb gospodarstwa społecznego. Znałe są usiłowania ministra skarbu Bungego, przedsiębrane w celu zreformowania systemu podatkowego i reorganizacji instytucji kredytowych; znane są następnie operacje finansowe z czasów Wyszniegradzkiego, t. j. z epoki kapitalizmu państwowego, gdy przy konwersji każdej pożyczki wypuszczano w obieg więcej obligów, niż istotnie było potrzeba na skupienie obligów pożyczki, poddanej konwersji; znane są wreszcie z czasów ministerium p. Wittego przewyżki budżetowe, które osiągnęto w ten sposób, że zamierzenia preliminarza budżetowego ustalano w cyfrach niższych, niż to było możliwe na podstawie wpływów rzeczywistych. Ten pozornie świetny stan finansów państwa, to zamykanie oczu na istotny stan gospodarstwa społecznego nie mogło nie doprowadzić do ogólnego kryzysu przy pierwszym silniejszym wstrząśnięciu, w danym wypadku po Laojanie i Cuszimie. Wiemy dobrze, że stan finansów nie uległ dotychczas żadnym poważniejszym przekształceniom i reformom. Paliatywy w rodzaju prawa, upoważniającego do sprzedaży włościom gruntów skarbowych, zniesienia opłat indemnizacyjnych — nie rozstrzygają sprawy. Zupełnie więc na miejscu kładzie autor „Finansów Królestwa Polskiego“ cytate Turgota: „*Faites-moi de la bonne politique, je vous ferai des bonnes finances*“.

A teraz powraca uporczywe pytanie: jaki jest udział Królestwa Polskiego w budżecie ogólnym, jak wysoka jest stopa obciążenia podatkowego w Królestwie?

W 1866 roku ludność Królestwa wniosła do kas skarbowych 24 mil. rubli, w 1880 roku — 49 mil. rubli, w 1894 roku — 114 mil. rubli, a w pięcioleciu od 1900 do 1905 roku wpłacała przeciętnie po 133 mil. rubli corocznie. Okazuje się zatem, że w ciągu czterdziestolecia wpływy, osiągnęte przez skarb w granicach Królestwa Polskiego, zwiększyły się pięciokrotnie. Czy nie warto w samej rzeczy poznać bliżej warunki, które sprawiły, że dany kraj, w ciągu lat czterdziestu, zdołał podnieść do tego stopnia swą siłę płatniczą.

Wyodrębnienie budżetu Królestwa z ogólnego budżetu przedstawia duże trudności ze względu na układ rachunkowości, który pomija zupełnie podział na poszczególne terytoria i prowincje, wchodzące w skład państwa. Wypada więc, niezależnie od sprawozdań Kontroli Państwa, posiłkować się budżetami poszczególnych ministeriów, wydawnictw różnych departamentów i wydziałów centralnych. W dodatku, system poboru i organizacji kasowej jest tej natury, że mieszkańiec Królestwa może zapłacić do kasy skarbowej w Taszkencie lub Irkucku ten podatek, który się od niego należy z tytułu posiadania majątku ziemskiego pod Warszawą.

Choć więc z racji wszystkich tych trudności zestawienia cyfrowe nie mogą osiągnąć absolutnej ścisłości, mogą jednak wyrazić w dokładnych zarysach całą strukturę finansów Królestwa. Należy dla ścisłości nadmienić, że przytoczone wyżej dwie prace dochodzą do identycznych prawie wywodów cyfrowych.

Dochody skarbu państwa z dziesięciu gubernii Królestwa Polskiego wynoszą:

w 1900 r. . .	125 mil. rubli
w 1901 r. . .	130 mil. rubli
(według Wł. Żukowskiego 129 mil. rubli)	
w 1902 r. . .	136 mil. rubli
w 1903 r. . .	141 mil. rubli
w 1904 r. . .	133 mil. rubli
w 1905 r. . .	122 mil. rubli

Równocześnie wydatki skarbu na rzecz Królestwa Polskiego w okresie sprawozdawczym wynoszą:

w 1900 r. . .	105 mil. rubli
w 1901 r. . .	111 mil. rubli
w 1902 r. . .	111 mil. rubli
w 1903 r. . .	113 mil. rubli
w 1904 r. . .	121 mil. rubli
(według Wł. Żukowskiego 118 mil. rubli)	
w 1905 r. . .	130 mil. rubli

Zestawienie powyższe jest bardzo wymowne. Wykazuje ono, że w ciągu sześciolecia kasy skarbowe pobrały z Królestwa 787 milionów rubli, wypłaciły zaś na potrzeby Królestwa 691 milionów rubli, czyli że osiągnięto przewyżki w dochodach 96 milionów rubli, a więc przeciętnie po 16 milionów rocznie.

Specjalnie należy zwrócić uwagę na gwałtowne zmniejszanie się dochodów skarbowych w ostatnich dwóch latach, a równocześnie — na wzrost wydatków w tym samym okresie czasu. Rzecz prosta, że jest to przede wszystkim wpływ wypadków politycznych i powstałego na tem tle ciężkiego przesilenia gospodarczego.

Przesilenie to można również stwierdzić na podstawie materiału cyfrowego przy rozważaniu poszczególnych pozycji budżetowych; znajduje ono swe odbicie naprz. w zwiększaniu się zaległości podatków stałych w 1905 r., w zmniejszeniu się wpływów w dziedzinie podatku mieszkaniowego, zmniejszeniu wpływów z podatku przemysłowego, co pozostaje w ścisłym związku z obniżeniem dochodów z przedsiębiorstw akcyjnych i t. d., i t. d.

Wogóle cyfry te są znakomitą ilustracją fatalnego pod względem gospodarczym przesilenia z 1905 roku. Zarazem zadają one stanowczy kłam legendzie, jakoby t. zw. „przewartościowanie pracy“, dokonane w sposób tak gwałtowny, nie pociągnęło za sobą złych następstw, zarówno dla naszego przemysłu, jak i dla całokształtu stosunków gospodarczych naszego kraju.

Zarazem wyniki gospodarki finansowej za ostatnie lata, a specjalnie wzrost zaległości, stanowią samo przez się wymowne memento. Wykazują one, że zasoby podatkowe ludności wyczerpują się. Jako konieczność występuje postulat, aby podatki stałe w Królestwie doprowadzone zostały do poziomu obciążenia podatkowego w Cesarstwie. Cyfry wykazują, że w całym państwie przeciętne obłożenie podatkowe na głowę ludności w rubryce podatków bezpośrednich — wynosi 90 kop., w Królestwie zaś dochodzi do 7 rubli. Również i obciążenie nieruchomości miejskich w Królestwie stanowi anomalię, i wpływy z tego tytułu podatków z Królestwa stanowią około 25% ogółu wpływów w państwie.

Najważniejszym wszakże dla nas jest zestawienie, które wykazuje, że w Królestwie przewyżka w dochodach wyniosła 96 milionów rubli za ostatnie sześciolecie, t. j. przeciętnie po 16 milionów rubli rocznie.

W danym wypadku zupełnie nie dotykamy na razie tej kwestyi, jakie są podstawy ogólne gospodarki krajowej, jakie wydatki idą rzeczywiście na korzyść Królestwa pod względem gospodarczym. Pomijamy zupełnie zestawienia tego rodzaju, że naprz. w wydatkach skarbu na rzecz Królestwa za 1904 r. z ogólnej sumy 121 milionów rubli wydatki ministerium wojny wynoszą 42 mil. rubli, gdy tymczasem wydatki ministerium komunikacji wynoszą zaledwie 18 mil. rubli, a wydatki minist. rolnictwa — zaledwie 1 mil. rubli; że następnie wydatki minist. spraw wewnętrznych (w tem utrzymanie policji) określa cyfra 9 milionów rubli, kiedy ministerium oświaty zadawała się cyfrą 3 milionów rubli.

Na razie nie chodzi nam zupełnie o krytykę budżetu z punktu widzenia interesów gospodarczych ludności i całego kraju.

Chodzi nam tylko o stwierdzenie, że bez względu na obecny system gospodarki finansowej w naszym kraju, Królestwo daje tak wyraźną przewyżkę dochodów nad wydatkami skarbowymi. Rozwiewa to najzupełniej

osławioną tezę, jakoby kresy państwa, a w tej liczbie i Królestwo Polskie, zniewalały skarb państwa do subwencyonowania niejako skarbu Królestwa z uszczerbkiem prowincji centralnych. Legenda ta o rzekomym wyzysku skarbu państwa na rzecz kresów wypłynęła znów ostatnimi czasy, tym razem na arenie parlamentarnej, i znalazła swój wyraz jako argument dowodowy, usprawiedliwiający politykę rządową w Królestwie. Atak zgoła chybiony. Zwycięstwo odniosły cyfry, których mowa jest niewzruszona.

Stefan Dziewulski.

RUMUNIA.

(C. d.)

Wzmianki historyczne o Wołochach na półwyspie Bałkańskim spotykamy dopiero pod koniec X w.; odegrali oni tam w XII w. doniosłą rolę współtwórców państwa nowobułgarskiego, państwa Azenidów, którzy nawet mieli być pochodzenia wołoskiego. Jednakże już w XIII wieku znikają stamtąd jako czynnik polityczny; do XIX w. przechowały się nieliczne stosunkowo grupy półkoczowniczych osad pasterskich wołoskich, głównie w górach Pindus i w Starej Serbii. Natomiast właśnie od początku XIII wieku, występują licznie i pod wodzą własnych wodzów (knezie) w Banacie, Siedmiogrodzie i Multanach. Pierwsze wzmianki historyczne o Wołochach na północnym brzegu Dunaju występują dopiero w XII wieku.

Nie wyklucza to, oczywiście, że sporadycznie, niewielkimi grupami, mogli Dunaj przekraczać od kilkuset lat, choćby od X wieku, ale niewątpliwie krain na północ od Dunaju nie zamieszkiwała ludność, mówiąca językiem romańskim, od IV wieku po Chr. począwszy. Najsilniejszym na to dowodem jest nomenklatura topograficzna Siedmiogrodu i Rumunii. Nie jest ona rzymską ani dacką, ale słowiańską przedewszystkiem (i po części także mongolsko-madziarską), zwłaszcza o ile dotyczy nazw gór i rzek, które okazują zawsze większą trwałość, niż nazwy osad ludzkich, choć i wśród nazw miejscowych bardzo znaczny udział ma pierwiastek słowiański. Rumuńskie nazwy rzek i gór są stosunkowo tak nieliczne, że można przyjąć, iż w czasach stosunkowo niedawnych wyrugowały nazwy dawniejsze, słowiańskie. Wskazuje to, że Wołosi objęli w posiadanie ziemie na północ od Dunaju po ludach słowiańskich i mongolskich (Awarach, Madziarach, Pieczyngach, Kumanach i Polowcach), że Słowian tutaj zastali, z nimi się połączyli i do siebie ich upodobnili, zwołoszyli.

Tak więc okazuje się, że Rumuni, chlubiący się pochodzeniem wprost od kolonistów rzymskich i przetrwaniem wszystkich wędrowek ludów w swojej dzisiejszej ojczyźnie — mylą się gruntownie. Są wprawdzie niewątpliwie narodem romańskim, ale nie są potomkami Rzymian. *Idea dacko-rzymska*, która stała się ideą przewodnią narodową Rumunów

i ogromnie przyczyniła się do ocalenia, skrytalizowania i odrodzenia ich kulturalnego i politycznego, jest tylko ideą — pozbawioną realnego gruntu, historycznego, daleką od ciągłości tradycji dziejowej. Dzieje narodu rumuńskiego wskazują najlepiej może, co za potęgą leży w kulturze i w pierwiastkach duchowych, czyli w ideologii, choćby nie związanej nawet z rzeczywistością. Przedstawicielami tej ideologii stają się w biegu wieków coraz to nowe czynniki etniczne, teren jej się zmienia, ale przecież ona się utrzymuje i ostatecznie zwycięża. Jest to rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że kultura rzymska, podlegając od VI wieku, a więc przez półtora tysiąca lat, wpływom słowiańskim, coraz to nowym i wyższym, etnicznym, kulturalnym i językowym, utrzymała się ostatecznie, choć według wszelkich rachub powinna była zupełnie zniknąć, zatonać w morzu słowiańskim. Zwycięstwo swe zawdzięcza ona niewątpliwie brakowi znajomości istotnego stanu rzeczy w czasach nowożytnych u samych Wołochów i ich sąsiadów. Niemalą rolę odegrała ta okoliczność, że zamieszkali oni ziemię, niegdyś zwaną Dacją i chwilowo przez Rzymian zajętą. Uczni humaniści XVI wieku pierwsi złączyli ich z kolonistami rzymskimi; kronikarze wołoscy dopiero od XVII wieku podnoszą z dumą, że ich naród z Rzymu się wywodzi (Urechia, Miron Kostin). Od XIII do XVII wieku wpływy słowiańskie nie zmniejszały się, ale owszem rosły. Rumuni nie tylko należeli do wyznawców kościoła wschodniego, ale ich językiem liturgicznym był język liturgiczny słowiański (starobułgarski) aż do połowy XVII wieku; aż do XVI wieku, począwszy od XIV w., pielegnowali nawet i rozwijali u siebie literaturę bułgarską (kościelną), która z upadkiem państwa Asenidów-Szyszmanidów we własnej ojczyźnie zamarła; skutkiem tego też, aż do połowy XIX w., używali i dla własnego języka alfabetu cyrylicznego. Aż do XVI w. element słowiański był górą w Wołoszczyźnie — szlachta (bojeri) nie tylko nosiła w ogromnej większości imiona słowiańskie, ale istotnie była także w znacznej części pochodzenia słowiańskiego (bułgarskiego i serbskiego). Cały ustrój polityczny państw (hospodarstw) rumuńskich był słowiański, słowiański też był język dworski i dyplomatyczny. Gdyby księstwa rumuńskie nie dostały się pod wpływy i panowanie tureckie, które do szlachty i na trony hospodarskie wprowadziły liczne elementy greckie (fanaryoci) — pokost słowiański stawałby się coraz silniejszy i możeby zdołał kulturze i językowi nadać charakter słowiański.

Dziś najsilniejsze są w Rumunii wpływy kultury francuskiej — szlachta przesiaduje w Paryżu, mówi między sobą po francusku, inteligencja odbywa lub kończy studia na uniwersytetach francuskich. W pierwszej połowie XIX w. bardzo silnie była reprezentowana kultura polska, język polski był językiem salonowym, a córki zamożniejszych rodzin bojar-skich kształciły się w zakładzie wychowawczym we Lwowie. Dziś dają się odczuwać tylko bardzo słabe przebliski polskości, głównie dzięki emigracji robotników kwalifikowanych (rzemieślników) z Galicji wschodniej. Z kulturą francuską inteligencji i szlachty ry-

walizuje dziś kultura niemiecka przez oświeconych Żydów, których liczba powiększyła się znacznie (do 2,300,000 głów) przez powrót przybyły do północnej Rumunii z Bukowiny i Galicji wschodniej, i przez Niemców, przybywających z Siedmiogrodu, Austrii i Rzeszy Niem., jako przedstawiciele kapitału, handlu i przemysłu. W samej stolicy kraju, w Bukareszcie, jest 25000 Niemców, w całym państwie jest ich około 60,000; wskutek tego znajomość języka niemieckiego jest w Rumunii rozpowszechniona niemniej może, niż w Galicji. Panowanie dynastii niemieckiej i przymierze z Austrią (konwencja wojskowa) w znacznej mierze się do tego przyczynia.

Mimo romańskości kultura rumuńska ma bardzo wiele cech oryentalnych. Bukareszt jest miastem jeszcze obecnie wschodniem, mimo usilnych starań zeuropeizowania, a przed 40 laty miał on zupełnie wschodni charakter. Jeszcze około połowy XIX w. na obszarze ludnych dziś dzielnic pasły się owce, które wilki niekiedy rozdzierały, i gnieździło się ptactwo błotne. Uliczki kręte i brudne, domki małe, przeważnie parterowe i drewniane jeszcze, ludność brudna, odżywiająca się nędznie, głównie jarzynami (ogórki, melony), spędzająca w porze letniej czas na ulicy. Po ulicach, obok hałaśliwych kramarzy, obnoszących na plecach i na noszach kosze z towarami spożywczymi, kręci się duża ilość nierogacizny i drobiu.

Od tego ludowego Bukaresztu odbija jaskrawo zbytek klas zamożnych i żądza używania, nie licząca się zbyt często ze względami moralnymi. To, co się zowie rozwiązłością obyczajów, dzielą z klasami zamożnymi także i najszerze warstwy ludowe, i to nie tylko w miastach, ale i po wsiach.

Fr. Bujak.

(C. d. n.).

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

WYSPA SMUTKU.

(Opowieść fantastyczna.)

Działo się w siedzibie uczonych, w Atenach, w wieku dwudziestym piątym po Chrystusie, a w wieku trzecim nowej epoki, po zaprowadzeniu stałej wymiany myśli między mieszkańcami ziemi i planety Marsa.

(C. d.).

Kiedy późno w południe obudził się, Heleny już nie było w pokoju. Zebrał się żywo, bo chciał jej okazać, że się zmienił i że będzie odtąd więcej z nią przestawał niż dotychczas. Marną mu się wydawała praca w porównaniu z rozkoszą znajdowania się przy jej boku. Wyrzucał sobie, że dotychczas dla martwych ksiąg historycznych zaniedbywał tę, która stała się odtąd dla niego żywą historią życia.

Ale nigdzie nie znalazł Heleny, ani w willi, ani w parku. Tknięty przecuciem, poszedł

do swojej pracowni i tu już od progu dostrzegł list, leżący na biurku. Nie widział jeszcze liter, ale straszne wewnętrzne przekonanie mówiło mu, że to był list od niej do niego, list ostatni...

Tak, to był list od niej.

Czytał:

„Mój drogi Donaldzie. Wyjechałam na długo, a może na zawsze. Nie miej mnie za okrutną. Daleko bardziej los jest okrutny względem mnie, niż ja względem ciebie. Napróżno będziesz mnie szukał po świecie, jeżeli tak postanowisz. Schroniłam się na Wyspę Smutku, a to wiesz pewnie, że tam nikt mnie nie znajdzie. Nie przeklinaj mego imienia. Wyjechałam z moją rozpaczą i tęsknotą, aby w ciszy pozostawać sama z sobą. Nieszczęśliwa jestem tak bardzo, jak tylko nieszczęśliwa może być kobieta, której pragnienia nigdy się nie spełnią, mimo, że są najdroższe. Bądź zdrow, mój złoty. Łzami oblałam twoją rękę, całując ją, kiedy sen zamykał jeszcze twoje powieki. Byłeś dobry dla mnie, i tego ci nigdy nie zapomnę.

Helena“.

Jak obłąkany obejrzał się dokoła. Niedawno więc była tu, w jego pracowni, i ten list pisała? Krew biła mu w skroniach wyraźnie i silnie. Opuściła go na długo, a może na zawsze. Czyż to być może?

Schroniła się na Wyspę Smutku, o której słyszał, że jest azyl dla chorych na nieukojoną miłość i tęsknotę. Schroniła się tam, skąd mało kto powraca, a jeśli wraca, to z zamąconym umysłem, lub jako zupełna ruina fizyczna i duchowa.

— Kto jest ten, kto mu ją porwał? Kto jest ten, do kogo ona tęskni tak bezgranicznie, że aż chce dać całe życie swoje w ofierze na hekatombę miłości? Gdzie on ma go szukać?

Rozpacz i gniew odbierały mu przytomność. Zaśmiał się gorzko, bo ten list mówił mu wszystko to, czego on jeszcze wczoraj nie mógł zrozumieć.

Opanowany jedną myślą, byle tylko znaleźć ślad jakikolwiek, po którym mógłby trafić do źródła jej ucieczki, przestrząsnął gorączkowo wszystkie drobiazgi, wszystkie suknie i papiery, które pozostawiła po sobie. Ale nie znalazł nic takiego, co by mu mogło uchylić rąbek tajemnicy.

A więc Helena stracona na zawsze. Gdyby przynajmniej mógł dociec, kto ukradł mu jego szczęście, wiedziałby, czy ten ktoś jest silny i piękny, lub tchórz i wstrętny. Przyjdzie mu więc całymi godzinami, dniami i latami patrzeć z wyżyny Akropolis po bezbrzeżnych widnokręgach i szukać jej śladów nadaremnie, i wyczekiwać, czy nie zjawi się jak mara bolesna, i drzeć na każdy szelest palmy i na każdy huk wichru...

Jedna męka bez końca.

A może ją jeszcze dogna, zanim przepadnie na zawsze dla niego? A może Helena zawaha się, zanim postawi nogę na Wyspie Smutku, i będzie mógł ją jeszcze odwieść od tego straszego kroku?...

Wyszedł do parku.

Południowe słońce zalewało gorącymi promieniami ogród. Roślinność bujna wydawała balsamiczne zapachy. Ani jeden wiew wiatru nie zakołysał drzewami i krzewami cy-

prysu, które stały nagie w swojej ciemnej zieleni, nurzając się w kąpieli słonecznej. Mimo-woli zwrócił kroki do altany, w której Helena godzinami całymi lubiła przesiadywać i czytać. Głęboki cień rozpiętego winogrodu okrywał to zaciszne miejsce i prześliczną rzeźbę Tęsknoty, stojącą przy wejściu.

Donald stanął jak wryty. Uderzyło go podobieństwo wyrazu między posągami a Heleną. Ta sama prawdziwa linia owalu twarzy, ten sam cień bólu w kątach ust, to samo pochylenie głowy... Podeszedł bliżej i zadrżał. U podnóża posągu dostrzegł wyróżnione słowa rylcem. Poznał pismo żony:

„Za tobą idę, najdroższy duchu”...

Niżej zaś powtarzało się kilka razy imię:

„Godava — Godava”...

Krew uderzyła mu do głowy. To jedno słowo powiedziało mu straszną prawdę.

— Helena zgubiona! — przeleciała mu myśl, jak błyskawica, przez mózg. — Helena była w Pałacu na Marsie i tam poznała się z nieznanym. Helena zakochała się i uległa straszliwej chorobie niezaspokojonej miłości, i będzie odtąd wędrowała jak kwiat, podcięty na wiosnę. Dlatego ucieka na Wyspę Smutku, jak tysiące innych.

— Ratować ją! ratować ją! — krzyczało w nim serce, rozpacz i trwoga — ona przypłaca ci to śmiercią lub obłędem!

Wypadł jak szalony z altany. Buchnęło na niego rozpalone powietrze majowego słońca. Nie czuł tego. Przed willą stała już łódka powietrzna. Wskoczył do niej i tylko zdołał zdławionym głosem wykrztusić: Na dworzec!

Ptak-łódka wzbiła się miękkim ruchem w powietrze, posłuszna ręce przewoźnika. Olbrzymie skrzydła jedwabne pruty drgające fale powietrzne i zakreślały ostry łuk ponad morzem błyszczących dachów willi, gmachów publicznych i Świątyni Ukojenia. Na dworcu czekał już pociąg, który miał zawieźć go na zachód. Jeden długi wagon, mogący pomieścić kilkaset osób, leżał na pojedynczej szynie, jak gąsienica błyszcząc stalowymi bokami. Dziób pociągu, spłaszczony jak ostrze siekiery, dumiał o walce z powietrzem, która go czekała.

Rozległ się sygnał.

— Gdzie jest teraz Helena? Czy jakie nieszczęście nie spotkało jej w drodze? — zadawał sobie pytanie Donald, kiedy pociąg już ruszył z zawrotną szybkością.

* * *

II.

Słoneczny zachód tonął w falach morskich. Płomienie purpury wskazywały, gdzie staczała się lampa światła. Ziemia Ognista zasypiała już w fioletowych cieniach nieba i oparów. Cisza pogodnej nocy tuliła się do rozgrzanych wybrzeży, które stygły powoli, owiewane chłodnym oddechem głębin morskich.

Na statku, który wioził Donalda ku Wyspie Smutku, znajdowało się kilkadziesiąt osób. Żadna z nich nie próbowała nawiązać rozmowy z sąsiadem. Wszyscy byli dziwnie zadumani i smutni. Każda twarz mówiła o jakiejś przeżytej w sercu tragedii. Była to raczej gromada duchów, niż ludzi.

Ellis nie mógł się oprzeć wrażeniu że, jedzie na łodzi hellenńskiej przewoźnika Charrona, który ongi przewoził dusze zmarłych Greków przez rzekę zapomnienia do Hadesu...

Statek wpłynął cicho do przystani. Nikt nie witał podróżnych—nikt na nich nie czekał. Ci, którzy tu przybywali—zostawili wszystko za sobą. Towarzyszył im tylko ból lub nieukojoną tęsknota.

Po marmurowych stopniach weszli do olbrzymiej sali, w której płonęły pochodnie ciemnozielonem światłem. Sufit ginał gdzieś wysoko w kolorowym mroku. Na ścianach kwitły olbrzymie irysy i twarze ogromnie smutne, wywołane magicznym pędzlem artysty. Z poza mglistej zasłony w głębi dochodziły tony muzyki o niewysłownej słodczy i melancholii, tak, że lzy cisnęły się do oczu...

Zasłona rozsunała się, a z głębi doszedł głos:

— Pozdrowieni bądźcie przybysze w przed-sionku naszej krainy.

— Oto krążganek, który wskaże wam drogę właściwą.

— Pytającemu was odpowiadajcie prosto z serca i złożcie śluby.

W milczeniu weszli w długi korytarz, oświetlony szeregiem błękitnych świateł. Tylko najmłodsza z kobiet wybuchła płaczem... Może wzruszona tem, co tu widziała, a może żal jej się zrobiło tych, których zostawiła za sobą...

Krążganek zaprowadził ich do kryształowej sali, mającej kształt kuli. Nad przybyszami migotały przez szklany sufit gwiazdy, a ścianami majaczyły palmy w cieniach nocy.

Kiedy stanęli na środku, nie wiedząc gdzie udać się dalej, nieznajomy, który siedział na podwyższeniu wśród kwiatów o cudownych barwach, rzekł do nich:

— Bądźcie pozdrowieni, przybysze. Co was tu sprowadza?

Na te słowa z gromady podróżnych wysunął się starzec i odpowiedział:

— Nie znajduję już w życiu szczęścia. Umarła mi towarzyszka mojego długiego życia. Chcę tu spędzić ostatnie lata mojego istnienia.

— Oto droga twoja!—rzekł nieznajomy, wskazując mu drzwi z czarnego hebanu, wiodące na prawo—niech ukojenie uczyni ci słodką twoją boleść.

Starzec podziękował skinieniem głowy i znikł w głębi.

Teraz Donald Ellis wystąpił naprzód.

Nieznajomy zapytał:

— Co chcesz, abym ci odpowiedział?

— Szukam tej, którą kocham serdecznie. Przed trzema godzinami musiała tu się schronić. Chcę ją nakłonić do powrotu. Nie z mojej winy jest nieszczęśliwa. Chcę ją ratować.

— Nie wiem, o kim mówisz, przybyszu,—brzmiała odpowiedź—a choćbym wiedział, nie mógłbym ci nic powiedzieć. Za każdym, kto wszedł w te progi, zamyka się niezgłębiona tajemnica. Imię jego przestaje istnieć, istnieje tylko jego cierpienie.

— Będę jej szukał, jak nurkowie szukali niegdyś pereł na dnie morza.

— Zatem nie pragniesz tu zamieszkać, lecz tylko widzieć tę, która ci zginęła z oczu? Nie wiem, czy ona, jeśli jest, zechce to uczynić.

Kogo tu ból przyprowadził, niechętnie wraca do żywych. Idź—oto droga twoja!—rzekł nieznajomy i wskazał mu białe drzwi z kości słoniowej, wiodące na lewo. — Oby twoja boleść zmieniła się w radość.

Ellis podziękował mu skinieniem głowy i podszedł ku drzwiom białym, które otwały się pod dotknięciem jego ręki i zawarły za nim, skoro je minął. Znalazł się w małej sali, wykładanej różowym marmurem. Na jego spotkanie wyszedł białowłosy starzec i odezwał się uprzejmie:

— Bądź pozdrowiony, przybyszu. Spełnię wszystkie twoje życzenia, o ile ich spełnienie jest zależne ode mnie.

— Pragnę widzieć się z Heleną, moją żoną.

— Jeśli jest mieszkanką naszej krainy, będziesz z nią mówił, o ile wola jej będzie taką. Stań, przybyszu, w tem kole, tu, na środku sali, i nie drżij, rzucę bowiem na ciebie snop światła, aby każdy mieszkaniec naszej wyspy mógł ujrzeć twą postać w swojej pułstelni.

Ellis spełnił wydane mu polecenie. Przenikliwe światło osnuło go całego białym całunem. Stał w tem kole magicznem z rozpaczą w duszy i lękiem.

— Kto żyw jest w naszej krainie, widzi cię—rzekł starzec:—wezwi ją po trzykroć po imieniu, a skoro taka będzie jej wola, usłyszysz jej odpowiedź.

— Ale ja jej nie widzę! — szepnął Donald z boleścią.

— Za każdym—odparł starzec,—kto przeszedł próg naszego państwa, zamyka się niezgłębiona tajemnica. Postać jego przestaje istnieć, istnieje tylko jego cierpienie.

Ellis drżał na całym ciele. Obawa i przerażenie, że wszystko jest daremne, ścisnęły mu gardło.

— Po trzykroć wezwij ją, przybyszu, gdyż światło wkrótce zgaśnie.

— Heleno!—jęknął Ellis, patrząc z rozpaczą wokoło:—Heleno... ulituj się... Heleno...

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Ellis spojrzał na starca, jak człowieka, który ma zginąć za chwilę. Echo jego słów błąkało się po kątach sali, aż wreszcie zamarło. Starzec spojrzał na niego ze współczuciem...

— Heleno!—szepnął jeszcze raz Ellis i utopił cały swój ból, mękę i rozpacz w błyszczącej kuli, zalewającej go światłem—jak gdyby tam, na dnie jej promieni, dojrzał widmo żony: — Heleno, ulituj się nade mną... Widzisz, żem biedny proch... Jak proch zejść ci z oczu, tylko mów...

— Donaldzie, Donaldzie—rozległ się szepot w sali.

Ellis zadrżał. To był głos Heleny.

— Czy chcesz ze mną mówić? — to samo echo zapytało.

— O tak...

— Dlaczego nie chcesz oszczędzić mnie i sobie tej męki?

— Heleno, mówiłaś, że nigdy nie zapomnisz, jakim byłem dla ciebie. Czyż przed rozstaniem się na zawsze ze mną nie chcesz mnie ostatni raz wysłuchać?

Wówczas jakiś cień zamajaczył na zwierciadlanej płycie, która stała przed nim, a po chwili ukazał mu się obraz Heleny w całej

postaci. Smutne jej oczy patrzyły na niego wymownie, usta jej drżały—cała jej postać przepełniona była promieniami.

(D. n.).

SZLAKIEM TĘSKNOTY.

Grono młodych poetów z Ukrainy wydało w Kijowie w roku ubiegłym „Noworocznik literacki“^{*)}, obejmujący wyłącznie utwory wierszem i prozą, samych wydawców.

Jedenastu poetów występujących w jednym szeregu w szranki, jakby na jakiś turniej poetycki, jedenaście duchów twórczych, zrywających się do lotu, reprezentujących w dodatku naszą kulturę, nasz język, naszą duszę wreszcie—tam, gdzie to wszystko jest tłumione i tępię oddawna, to niewątpliwie zjawisko znamienne i wzruszające.

I cóż ci ludzie z kresów nam przynoszą, w jaką strunę uderzają?

Czy idą naprzód z takim impetem — „aż stękają wokół blonia“, czy są tak czujni na swoich placówkach stepowych, jak pan Mohort, czy błędzą może gdzieś po ostrowach samotnych, po kurhanach i polach sławy przyćmionej, a może, jako „w mgłach srebrnych płynące duchy, wczorajszych mogił znaleźć nie mogą?“...

Posłuchajmy, co mówią ich dusze:

— „Gdy zachód się krwawi słońca pożogą i rozlewa wokół swe złote promienie... na grobie mej duszy wykwita mistyczny kwiat tęsknoty, bladej jak toń jeziora w cichą noc miesięczną, a takiej rozpacznej, jak złamane szczyty drzew“...

„Już nocka prószy rosą —
Za oknem się zakrada sen,
Błękitne oczy ma, jak len,
I główkę złotowłosą...
W mgieł szatę się otula —
Tęsknota dała mu ją raz
W jesieni smutnej chłodny czas...
A stara śmierć, matula,
Synaczka swego płacze,
Że poszedł kędyś w obcy świat...
Hej! tyle lat już, tyle lat,
Jak roni łzy tułacze“...

Słuchajmy wciąż:

„Nie szukaj szczęścia, to złudzenie,
To próżny trud...
Jedyne szczęście — znieczulenie
I serca chłód.
Pragnienie wzniośle?... śmieję się z tego!
To mrzonki mózgu schorzałego,
To próżny trud“...

„I co mi z tego, że kruszę swe serce na drobne bóle i krótkie natchnienia — i że się miotam w bezmyślnej rozterce, i że mię trawi ból wieczny istnienia. Kiedy ja nigdy, ach nigdy nie byłem miłości wielkiej i ognistej winny — bo na rozstajnych gdzieś drogach zgubiłem talizman serca — mój klejnot rodzinny“...

„Tęsknica nad grobami ze łkaniem przełata... a krwawy ból wlecze mą duszę wśród pustynnych pól, smutkiem zalewa... a dusza łka i śpiewa żałobną pieśń“...

„Na me dziecinne, złote włosy
Upadły troski smugi,
Na złote, bujne w polu kłosa
Upadły deszczu strugi!...

W dziecinna, chorą moją duszę
Trucizna życia płynie,
I dziecię—starzec, żyć wciąż muszę,
Nikogo ból nie minie“...

Posłuchajmy jeszcze:

„Znów przyszedł do mnie, tęsknoto—siostrzo moja... Tak sennie chwieją się wielkie białe kwiaty, o dziwnie wygiętych kielichach... Powstałaś przede mną z światła, z powietrza, mglista, szara jak éma nocna, o oczach wielkich, łzawych, pełnych smutku, nieruchoma, cicha... I skrzydła twe bez szelestu otoczyły głowę moją“...

„Weź w twe błękitne, rozmarzone dłonie
Duszę, szarpaną przez ból i tęsknicę...
Może ponad nią świt szczęścia zaplonie
I opromieni moich łez krynicę.
Wtedy ostatnią może łzę uronię, —
Ale łzę szczęścia—w mych cierpień łzawnicę,
Ach weź w błękitne, rozmarzone dłonie,
Duszę, szarpaną przez ból i tęsknicę“...

No, dość! Oto są próbki wynurzeń jedenastu poetów młodych. Wszyscy oni podobni są duchem do siebie. Prawie wszyscy przeniknięci są jednym uczuciem, wchodzą w życie szlakiem tęsknoty, wchodzą — zrezygnowani jacyś i pełni złych przeczuć, wszyscy prawie użalają się na losy swoje, mówią o życiu, o jego doli, szczęściu, radości, jak o czymś straconym dla nich na zawsze, słowami melancholii, bądź rozpacz, cierpkiego szyderstwa, bądź pojednania beznadziejnego.

Nuta nadziei czasami odzywa się, jest jednak niezdecydowana, mdła—nie podsycana ogniem wiary wewnętrznej.

Uspodobienia zmierzchove, żałoba po stracie talizmanu życia, wspomnienie, szarpiące boleśnie serce, snów prześnionych, rozwiązanych, jasna świadomość nicestwa bytu, tęsknota więcej po czymś, niż do czegoś — głucha, jesienna tęsknota, otoczona korowodem widm i szkieletów, idąca w parze z pustką i przerażeniem: oto zasadnicze czynniki twórczości autorów „Noworocznika literackiego“.

Co tu uderza przede wszystkim, to brak chęci walki, potężnego starcia się z życiem, brak chęci wywalczenia, dla siebie bodaj, czegoś znośniejszego, bytu promienniejszego, zapakającego potrzeby i pragnienia serca.

Niektórzy liczą jeszcze na odrodzenie

*) „Różnymi szlaki“. Noworocznik literacki młodzieży kijowskiej z przedmową Kazimierza Tetmajera. Kijów, 1906 r.

przez miłość, roją i o tem wszakże dość sen-
nie, bez mocniejszego przekonania.

Za to wszystko strofuje z lekka młodych
poetów, w przedmowie swojej do ich „Nowo-
rocznika“, Kazimierz Tetmajer.

„Nie mogę — powiada — nakłonić mojej
myśli w tę stronę, z której poezye Panów,
jakkolwiek są piękne, toczą się przeważnie.

„Teraz jest chwila energii, nie melan-
cholii“...

.....

Nie pójdę śladem Tetmajera...

Najpierw dlatego, że słowo — to tylko „mar-
na połowa arcydzieła życia“... a nie wiem, czy
poza poezyą poeci ci zachowują się jak mel-
ancholicy... Powtóre, że chwile największej
energii nie wyłączają chwil melancholii: energia,
wysiłek, natężenie władz ducha, wszyst-
ko, co prowadzi do starcia, do zatargów z ży-
ciem, do niepewności, co kusi losy i przeciw
nam je sprzymierza, pociąga za sobą melan-
cholię, smutne przeczucia wyników działania,
wątpienie i t. p.

W końcu dlatego, że sam poczuwam się
poniekąd do winy względem tych z młodsze-
go pokolenia, którzy dziś, w chwili energii,
stoja w znaku melancholii.

Dziwię się nawet, że Tetmajer tego po-
czucia nie ma i zbywa młodych poetów byle
zdawkowem słowem, on, który przez 20 lat
— ach! wkrótce już — swojej twórczości poety-
ckiej zagłował namiętnie po najwspanialszych
wodach melancholii i pytał wciąż w zwątpie-
niu: „dokąd iść?.. nie wiem — zgubiłem mą
drogę“...

Wprawdzie po napisaniu „Rewolucyi“
podobno ją odszukał... ale jakże długo trzeba
było na to czekać — zresztą i ta nowa dro-
ga do zbyt pewnych nie należy...

Ale powracajmy do naszych początku-
jących melancholików.

Niewątpliwie przykro to patrzeć na mło-
dość zniechęconą i zwarzoną, nieskłoną do
ruchu i czynu, zadumaną biernie, nie rwącą
się do walki w chwili stawania się światów
nowych, w chwili przekształcania się i na-
rodzin, w okresie błyskawic, wrzenia i pory-
wów.

Bolesna jest świadomość, że się ma przed
sobą ludzi, którzy zaledwie życie rozpoczęli,
a już tyle doświadczyli, tyle przeżyli, tak są
w doświadczenie bogaci — że już złudzeń nie
znają i przed sobą zachęty do życia nie wi-
dzą, z żalem natomiast zwracają się poza
siebie.

To wszystko jest smutne, ale to trzeba
brać jako dalszy ciąg czegoś, nie zaś jak'coś, co
samodzielnie w nich powstało, co źródło swe
w nich samych znajduje.

Poezya pokolenia poprzedniego — naszego
pokolenia — otoczyła młodych poetów atmo-
sferą melancholii i znużenia, rozteśknienia
i niesmaku życiowego.

Poezya ta, której oddziaływanie widnie-
je na każdym kroku, na utworach autorów
„Noworocznika“ kijowskiego, śpiewała im,
przez czas ich wzrostu i budzenia się powo-
łania, ciągle i z mocą wielką przekonania ja-
kąś „pieśń wieczorną“, wiodła ich na „wzgó-
rza śmierci“, — mówiła: „Vogue la galère!
Niech płynie łódź przez jakie chce od-

męty — gnijące wody pruć, to pruć“!... Kaza-
ła im wciąż czegoś żałować, wciąż przebywać
w mgłach utęsknienia, albo oczy mieć tylko
w dal utkwione ciemną.

Oni — z większą słuszością niż ktokol-
wiek inny — mogliby się zwrócić do swoich
poprzedników ze słowami:

„Wołacie na nas: Jesteśmy bez siły:

Dajcie nam słowa wiary i otuchy“ —

A nam któż daje słowa pocieszenia?

A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

(K. Tetmajer.)

Nurt poezyi, który otaczał ich młodość,
był głęboko melancholijny, a przytem jakże
porywający, nęcący wszelkimi powabami, ota-
czający jej wyznawców aureolą niezwykłości
duchowej. Nic dziwnego, że w oblicze poezyi —
osmętnicy wpatrzyli się z lubością ci, co
w warunkach życia osobistego i szerszego
nie znajdowali zbyt wiele powodów do ra-
dości, a co po raz pierwszy stanęli, oko w oko,
wobec niedoli ogromnej świata i grozy ludz-
kich przeznaczeń.

Zachwiali się, spłoszyli — poszli szukać
zapomnienia i ukojenia w poezyi cieniów
i snów księżycowych, w mgławice wieczorne,
tam, gdzie wszystko mroczy się i błędnie.

Uciekają przed złowrogiem widmem ży-
cia, które im nagle się objawiło, i zdaje się
im, być może, że ani jęk bólu, ani głos pu-
szczyka nie dojdzie w te sfery, gdzie się snuje
przedza melancholii.

Powiadają o sobie — „wędrownie ptaki
— zawsze trafiamy w starych tęsknot szlaki“
— i mają zupełne prawo, bo doprawdy, są to
stare szlaki, droga wydeptana znakomicie
przez innych, na którą ich wprowadzono, wy-
stawiając na uroki i czary rozmaite.

Ale dlatego, że są to stare drogi, na
które wchodzi kolejno pokolenia i schodzą
z nich również, zdaje mi się, że ci, co tam
się znaleźli — w niewłaściwym może czasie —
nie zgubią na tym szlaku duszy swojej i tylko
nieco pięknych śladów przejścia swego na nim
pozostawia.

Zdaje mi się bowiem, że przez nich
przepływa tylko strumień melancholii, oni
zaś, w istocie swojej, melancholią nie są.

A że ów strumień zaczął przez nich
przepływać właśnie w chwili takiej, kiedy
dokoła biją pioruny i szaleją wichry, w chwi-
li zamętu, prężenia się władz czynnych du-
cha — walk i waśni żywiołowych, to już nie
ich wina... Zaskoczyła ich ta chwila znie-
nacka w momencie, kiedy, znękani sobą
i wpatrzeni w siebie, pragnęli tylko mówić
o sobie, użalać się na dolę swoją, dowodzić
światu, że burza ich życia osobistego już
przeszła — że prócz trwania bezradnego
nic ich więcej nie czeka.

Złudzenia, przedwczesne zrozpaczenie,
błędne mniemanie o sobie, o życiu, o bólu
istotnym, o wyrokach doprawdy niecofnio-
nych!..

Najpewniej minie to, w radość nieraz
zmieni się żal, nieraz także istotna rdza ży-
cia wejdzie w ich duszę, głęboka rozpacz ro-
zedrze już męską ich pierś — a miłość twór-
cza wstrząśnie ich jestestwem. Przybędzie im
hartu, przybędzie męstwa, bladymi wydadzą

się pierwsze żale i smutki, ockną się z bierności i wyjdą z zastoju życiowego...

To tylko może być z pożytkiem naszej twórczości. Ci młodzi poeci ukraińscy, których tu nazwiska bardzo mało znane podaję, gdyż nieraz najpewniej będzie mowa o nich w literaturze naszej,^{*)} są poetami prawdziwymi, ludźmi talentu niezaprzeczonego.

Gdy przestaną kruszyć swe serca „na drobne bóle i krótkie natchnienia”—złożą najpewniej nie jeden cenny klejnot do skarbnicy twórczości naszej, dotychczasowe bowiem ich drobiazgi świadczą bardzo korzystnie o ich uzdolnieniu poetyckim.

Pomimo znaczną zależność od swoich poprzedników (Tetmajera, Kasprowicza, Przybyszewskiego), wieje od ich utworów jakieś tchnienie swoiste, oryginalne i świeże, spętane tylko jeszcze bezwładem i jednostajnością przejściowego stanu duszy, który ich zbytnio przykuwa do jednego uczucia, zatrzymuje na jednym punkcie. To tchnienie, wyzwalając się z więzów, stanie się pełniejszym, wywoła rozmaite wibracje ducha, rozszerzy i wzmocni pierś. Nie są oni wynalazcami nieznanych rytmów, niektórzy jednak posiadają niewątpliwy dar dodawania do starych jakichś ledwie uchwytnych półtonów, które w zużyte harmonie wnoszą akcent świeżości. Zwłaszcza nastroje łagodnie-smętne, jakieś szemrania bólu stłumionego, umięją ujmować w formy doskonale zestrojone z treścią wypełniającą.

Motywów poetyckich jeszcze w nich niedużo, być może dla tego, że świadomie rozwijali te tylko, którymi zostali przedewszystkiem przejęci i zahipnotyzowani. Z tych jednak wysnuwali bez móżołu większego — z niedużym wszakże polotem — uczucie i myśl swoją.

Przyszłość stoi przed nimi! Należy im życzyć powodzenia — możliwości wyzyskania naturalnych zasobów, skłonności twórczych duszy. Za to, z czem wystąpili obecnie, należy się im sympatya nasza, za pielęgnowanie mowy ojczystej zdala od ognisk naszego ruchu umysłowego, za myśl o twórczości swojskiej i wysiłek szlachetny, nie wsparty zbytnio zachętą i przykładem życia im najbliższego.

Wł. Jabłonowski.

JANA STANISŁAWSKIEGO WYSTAWA POŚMIERTNA.

Po wystawie zbiorowej Józefa Chełmońskiego Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych stawia nam przed oczy obraz drugiego z grona najwybitniejszych przedstawicieli społecznej sztuki polskiej, który długo jeszcze, może zawsze, do żyjących w tej sztuce zaliczać się będzie. Wystawa obejmuje ilościowo zakres dość szczupły prac zmarłego przedwcześnie

artysty—wszystkiego około 140 małych płócien i tak znanych miłośnikom jego talentu deseczek—a więc część i to niewątpliwie niewielką pozostałej po nim spuścizny, wśród której brak podobno rzeczy najwybitniejszych. Jakościowo wszakże mamy przed sobą wszystko co potrzeba dla pełnego obrazu twórczości Stanisławskiego.

Nie był to artysta, który przechodził stopniowe a różne fazy swego rozwoju: po pierwszym zaraz okresie wstępnym znalazł swą własną drogę, powiedziałbym nawet, że się urodził, jako malarz, tem, czem był w pełni rozwoju swego talentu. Ta jedna okoliczność rzuca duże światło na jego twórczość. Była ona murowaną, związaną tak głęboko i tak bezpośrednio z jego istotą, tak obcą wszelkim wpływom zewnętrznym i wszelkiemu poszukiwaniu właściwego sobie wyrazu, tak wreszcie wolną od łamania się wewnętrznego i pogoni za własną duszą, że twórczość ta pozostała wierna sobie od początku aż do końca i tylko pogłębiała się coraz bardziej. Stanisławski wstąpił na drogę sztuki, kiedy już był człowiekiem dojrzałym i skryształizowanym, przedtem przeszedł studia matematyczne, umysł posiadał ścisły i krytyczny, charakter mocny i jednolity — tem się tłómaczy jasno wytknięta, bez skrętów, zboczeń, wyniosłości i spadków, droga po której kroczył.

Był on urodzonym malarzem krajobrazów i—sądzę, że sąd potomności usprawiedliwi to zdanie—największym bodaj z dotychczasowych pejzażystów polskich. Chełmoński^{*)} ustępuje mu naogół jako kolorysta, przewyższa go pod wielu innymi względami, ale jest to malarz natury, a nie krajobrazu; uczucie względem przyrody, jako wielkiej, a żywej całości, ogarniającej sobą wszelkie stworzenie, góruje w nim nad odczuciem krajobrazu, jako wrażenia chwili, jako jednego drgienia natury, pochwyconego w określonym punkcie czasu i przestrzeni. Stanisławski jest o tyle analitykiem, o ile Chełmoński jest syntetykiem, i dlatego właśnie jest przedewszystkiem pejzażystą, jest nim całkowicie i wyłącznie.

Górującą cechą artystycznej duszy Stanisławskiego jest sensualizm, i o nim to można powiedzieć, że nic się nie stało dorobkiem jego wewnętrznej skarbnicy piękna, co nie przeszło przez zmysły. Ale jest to trywializowaniem jego duszy, gdy mu się przypisuje pogoń za ścisłą obiektywnością w odtwarzaniu pory roku, oświetlenia dnia i godziny. Stanisławski chwycił własne wrażenia, ale wrażenia te nie miały nic z intelektualnej obiektywności, z tego co się wie i czego się szuka: były one nawskroś bezpośrednie, a przysiętem pełne, t. j. nietylko padające na siatkówkę oka, ale wywołujące w duszy potężne uczucie zwrotne, uczucie rozmiłowania się w tych chwytnych na gorącym uczynku życia „mrugnieniach” natury, jak się zmarły wyrażał.

Ztąd uderza w jego obrazach to, co stanowi najwybitniejszą ich indywidualność, a co bym nazwał ich melodyjnością. W każdym z nich odnajdujemy jeden wyraźny ton zasadniczy i pochodzącą od niego gamę. Nie jest

^{*)} W. Biliński, St. Gawiński, W. Grzybowski, W. Klinger, S. Konopacki, B. Koreywo, M. Kudelka, E. Ligocki, S. Morgulec, Z. Mosiewicz, Z. Mostowski.

^{*)} Skreśliłem charakterystykę jego twórczości w *Gazecie Polskiej*—№ 57 z r. b.

to melodia pieśni, utrwalająca się łatwo w pamięci wytycznymi swymi punktami a wywołująca skojarzenie innych wrażeń, ale raczej fuga, zamknięta sama w sobie, przeprowadzana w różnych rozwinięciach płynnych harmonia jedności nastroju. Niema w tem nigdy ani jednej fałszywej nuty, ani jednego poruszenia pędzla, któryby się wyrwał z gamy zasadniczej i to nie tylko w szarzyźnie wrażeń cichych, ale w powodzi najbardziej jaskrawych kontrastów. Jeżeli wypadkiem nuta zasadnicza nie została utracona, ale wzięta o pół tonu zawysoko lub zanisko, całość jest mu wierna do końca i chociaż nie ma w sobie cech prawdy, nie grzeszy nigdy przeciwko harmonii wrażeń.

Jako przykłady tej zadziwiającej jedności tonu wskazałbym N-ry: 10—„Wieś na wzgórzu“, 25—„Potok w zimie“, 30—„Księżyc“, 40—„Brzegi Dniepru“, 47—„Wieś na Ukrainie“, 55—„Stogi“, 61—„Sadzawka“, 79—„Księżyc nad skałami“, 102—„Cmentarz“, 122—„Bodiani“, 125—„Wieczór“.

Stanisławski jest analitykiem w odtwarzaniu swych wrażeń krajobrazowych, to też rozkłada gamę barw na odcienia niezmiernie subtelne, posunięte aż do wyrafinowania, i wywołuje przez nie wibrację, wpływającą nie z jaskrawości i kontrastu kolorów, ale z ich bogactwa. Subtelna prostota jest właściwym mu sposobem patrzenia na błyski przyrody. Lubuje się w tematach zwykłych, bo w najprostszym z nich znajduje dostateczną podniecie do przejścia się wrażeniem i do odkrycia w nim zarówno określonej indywidualności, jak i wielkiego bogactwa treści. W tem się właśnie maluje artysta. Efekty pociągają go wyjątkowo i wabią wyłącznie jego zmysł kolorystyczny, nie zaś popęd do wrażeń niepowszednich lub sztucznych.

Ścisły, matematyczny umysł Stanisławskiego nie posiada wzlotów wyobraźni ani fantazyi, hamuje go krytycyzm, stojący tak nieubłagane na straży szczerości, że nie pozwala mu wkraczać w dziedzinę tego, co niewątpliwie wie, pomyśleć i namalować jest zdolny, ale czego w danej chwili nie czuje jako bezpośredniego wrażenia. Ztąd niema w jego utworach niczego banalnego, żadnego rysu konwencyonalnego, ani jednego płytkiego lub zdawkowego pociągnięcia pędzla.

Malarz wrażeń bezpośrednich, nie rozplywa on się duchowo, jak Chełmoński, w nastrojach przyrody. Tamten godzinami zda się wpatrywać w pełną osobliwej treści naturę, jest nią jakby zahipnotyzowany i, przejęty jeszcze tym urokiem, odchodzi, aby wylać na płótno stan swej duszy. Stanisławski wciąż w siebie wrażenia chwili, pochłania je wzrokiem i utrwała farbami, zanim zdołają w swym ciągłym ruchu zmiennym zatracić właściwe sobie znamiona momentu, który z następnym momentem będzie miał dla niego już tylko wspólny szkielet konturów. Ztąd odsuwanie na plan drugi tych konturów, form, linii i wszystkiego, co oddaje pierwszeństwo technice nad treścią. Jak mistrzowsko umie władać tą techniką świadczą już początkowe jego obrazy (jak np. Nr. 126 — „Wiatrak“ z r. 1883 lub 9 — „Dziawanna“), świadczy każde poruszenie pędzla, które jednak nie staje nigdy na usługach fotograficznej, obiektywnej

ściśłości szczegółów, ale rzucanymi plamami odtwarza całość wrażenia. Dla tego to szkice z natury, nawet dorywcze notatki, wychodzące z ręki Stanisławskiego jako skończone dzieła sztuki, należą do najlepszych jego utworów. Takie momenty nieuchwytnie dla innych, jak „Tęcza nad Rosią“ (Nr. 76) i „Kurhan“ (Nr. 86), ze swym przesiąkniętym wilgocią kolorytem, stanowią niedościgną specjalność tego malarza wrażeń chwili.

Małe rozmiary jego obrazów nie są, jak sądzę, rzeczą przypadku lub szczególnego upodobania artysty, ale stanowią wynik logiczny szybkiego przenoszenia na płótno wrażeń przemijających, „mrugnięć natury“, które się nie powtarzają. Obrazy większe, malowanie w pamięci w pracowni, o nadanym im kolorycie i nastroju, jak np. Nr. 111 — „Topole nad wodą“, nie zdradzają już wysokich zalet swego twórcy. Nawet widoki księżycowe, których na gorącym uczynku chwycić i przenieść na płótno nie można, nie mają już w sobie znamion prawdy, ale odtwarzają raczej — zawsze z należytą harmonią — ten ostatni moment, w którym zostały zaobserwowane — chwilę przedwieczorną. Niema tu elektrycznego, aż do mistycyzmu dochodzącego w swem napięciu światła księżyca, jak w „Nocy“ Chełmońskiego, które nie jest wrażeniem tylko, ale przesyceniem duszy nastrojem. Przeciwnie zaś, chwile zmroku, utrwalane bezpośrednio a zawsze głęboko wyczułe, należą do wyróżniających się obrazów Stanisławskiego, np. Nr. 107 — „Sad wieczorem“, 108 — „Sadzawka wieczorem“ i 109 — „Zmrok“.

Takie są znamiona silnej indywidualności Stanisławskiego. Nie mniej wybitne nosi on w sobie cechy gatunkowe. Malarze społeczni lubią je odrzucać w zasadzie — zwłaszcza u nas; są przekonani, że tylko osobiste właściwości twórcy mają w sztuce wagę i wartość. Sztuka dla nich — to indywidualizm artysty. Jest w tym sądzie więcej miłości własnej i doktrynerstwa, niż zdolności do obserwacji i uogólnień, niż istotnego nawet pojęcia o sztuce, jako wielkiej funkcji twórczości narodowej. Niema artysty szczerego, a równocześnie oderwanego od duchowej wspólności ze swym społeczeństwem. Kto dąży z całą świadomością do tego, kto pod pretekstem wyłamania się z pod wszelkiej szkoły usiłuje być „oryginalnym“ pod każdym względem, będzie konstruował swe obrazy i robi z nich być może odbijające od wszystkiego wytwory swej fantazyi i swego intelektualizmu, ale będzie to robota a nie natchnienie, poza a nie szczerość, pokazywanie swego „ja“ a nie przelewanie w formy plastyczne stanów swej duszy, arcyumiejętne być może malowanie, ale nie sztuka.

Twórczość Stanisławskiego jest nawskroś polska, ale bynajmniej nie pod względem wyboru tematów, chociaż mało mieliśmy pejzażystów, którzyby mu sprostali pod względem głębokości odczucia naszej przyrody. Polskość jego duszy wyraża się w specjalnie wrażliwym, subtelnym i szczerym stosunku do tej przyrody, której widok perusza nie tylko zmysły i pieści je swą harmonią, ale wywołuje szczególny nastrój wzruszenia, złożony ze wszystkich pierwiastków łączących człowieka z jego ziemią. Nastrój ten przenosi się również na przyrodę nie swojską, to też praw-

dziwy i szczerzy artysta będzie pomimowoli wkładał nawet w krajobrazy obce swą duszę polską.

Takim był Stanisławski. Ma on wiele wspólnego w odczuwaniu przyrody z Maksem Gierymskim, z Podkowińskim, z Chełmońskim i z wielu innymi naszymi malarzami, zwłaszcza młodszymi. Urodzony na Ukrainie, wnosi on do swego stosunku do natury dużo ukraińskiej tęsknicy. Wszystkie jego obrazki z tamtych stron, szczególnie stepy usiane bodiakami, należą bezwarunkowo do najlepszych jego utworów. Ale nawet w krajobrazy włoskie wlewa tę swą ukraińską tęsknotę i swą polską uczuciowość, dla której skrawek natury jest czemś więcej niż pociągającą kombinacją barw lub interesującym kawałkiem malarskim.

Stanisławski wznosił jeden z najpotężniejszych filarów pod budowę szkoły polskiej malarstwa krajobrazowego: nauczył tych, którzy po nim przyjdą a za nim pójdą, — co to jest wrażenie, co to jest szczerłość i co to jest subtelność gamy tonów w odtwarzaniu natury.

Z. Balicki.

Z TYGODNIA.

Najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia było, bez wątpienia, złożenie przez Koło Polskie wniosku autonomicznego. Dyskusji nie można spodziewać się wcześniej, niż za sześć tygodni, niewiadomo więc, czy wogóle do niej przyjdzie. Złożony projekt autonomii Królestwa jest naogół dobry, to znaczy, że wiernie odpowiada minimum żądań politycznych społeczeństwa polskiego, nie licytuje propozycjami, które zyskałyby może gromki poklask, ale nie wyszłyby nigdy poza granice frazesów ustawowych. Prawdopodobnie przed złożeniem wniosku Koło porozumiewało się ze stronnictwami rosyjskimi; pewne ślady ustępstw znajdujemy w artykułach, które traktują o namiestniku (brak zastrzeżenia, że musi być księciem krwi, albo też Polakiem), oraz o prawach języka rosyjskiego w Królestwie. Czy projekt ten odpowiada również maximum ustępstw, jakie opinia polityczna rosyjska gotowa jest zrobić na rzecz Polaków — tymczasem przesądzać trudno, projekt nie wywołał bowiem jeszcze dyskusji w prasie. Dotąd zabrała głos tylko *Ruś*, a jej główny referent spraw polskich, Nestor, wyraził już niezadowolnienie z powodu niedostatecznego zabezpieczenia praw języka rosyjskiego w sądzie i urzędzie (domaga się, aby nietylko były przyjmowane sprawy i podania w języku rosyjskim, aby w tymże języku wydawane były wyroki i odpowiedzi, ale także, by na życzenie cała procedura odbywała się w języku rosyjskim).

To niezadowolnienie daje nam przedsmak krytyk rosyjskich, walk, jakie będą toczyli nasi posłowie, ustępstw, które może jeszcze zrobić będą zmuszeni. W każdym razie wniesienie pośpieszne autonomii zasługuje na zupełne uznanie, bez względu na to, jakie będą dalsze jej losy, związane dziś już z losami samej Izby, ciągle bardzo niepewnymi.

Z pewnem uczuciem ulgi czyta się wiadomość o zgodnem potępieniu całej polityki „walki zbrojnej“ między partjami, przez wszystkie stronnictwa robotnicze w Łodzi. W środę odbyła się ogromna konferencya delegatów wszystkich poważniejszych fabryk, w liczbie 800 osób, na której potępiono wszelkie zamachy i zabójstwa partyjne. Wybrano ogólno-łódzką komisję śledczą z 17 osób, z których 8 ma reprezentować partje skrajne, 4 D. N., 4—chrześcijańską demokrację, oraz jedna ma być bezpartyjna. Ustalono na zebraniu następujące zasady: a) nie wolno nikogo krzywdzić ani wydalać z fabryki za przekonania polityczne albo wyznaniowe; b) nie wolno zmuszać siłą do wstąpienia do jakiegobądź partji lub związku; c) nie wolno przebywać w fabrykach ludziom uzbrojonym; d) nie wolno w żadnym zatargu używać broni. Niestety, socjaliści dali się poznać z tego, że bez skrupułów potępiają swe stare błędy po to, by na nowo w nie wpadać. Być może jednak, że aparat, jaki powołano dla wprowadzenia w życie powyższych zasad, będzie mógł wywrzeć pewien wpływ. Oprócz ogólno-łódzkiej komisji mają powstać poszczególne — w każdej fabryce — dla polubownego rozstrzygania wszelkich sporów.—Przyszłość pokaże.

Zabójstwa na ulicach Łodzi nie ustają. Niema dotąd żadnej siły, któraby mogła im przeciwdziałać. Zupełna bierność władz policyjnych bije w oczy. Zamach na furgon składów monopolowych widocznie zrobił trochę ruchu, objawił się on jednak tylko oddaniem policyi pod władzę wojskową i sprowadzeniem dwóch secin kozaków oraz 300 dragonów. Tymczasem doświadczenie ostatnich lat dostarczyło bogatego materiału, dowodzącego, że jest duża różnica między wzmocnioną władzą policyjną a władzą wojskową, że ta ostatnia nigdy nie zastąpi pierwszej, że zatem z tej strony nie można oczekiwać żadnego lekarstwa na potworny stan miasta. Wojsko, poddane rozumnej władzy policyjnej, może tej ostatniej oddać pewne usługi; ale policyja, poddana władzy wojskowej, traci z konieczności charakter stróża bezpieczeństwa. Wiadomo przecie, że w walce wojska z anarchią najwięcej ginie przechodniów.

Agitacya litwomańska księży na Litwie i Białorusi dochodzi do niebywałych rzeczy. Ksiądz Budro, we wsi Butrymańcach, w swej nienawiści do Polaków zaszedł tak daleko, że zorganizował formalny „pogrom“ Polaków przy pomocy szajki sfanatyzowanych Litwinów, stanowiących w parafii znaczną mniejszość. Awan-

tura zaczęła się podczas nieszporów, które ksiądz zaintonował po litewsku; kiedy ogół zaczął śpiewać po polsku, ksiądz odszedł od ołtarza i zaczął przy pomocy swej zorganizowanej szajki wypędzać Polaków z kościoła. Wystraszona ludność zaczęła uciekać, napastnicy poczęli bić i kaleczyć uciekających. Proboszcz, zadowolony widocznie z dzieła, podejmował później bandę na plebanii, gdzie pito do późnej nocy.

W Londynie zgromadziła się „konferencja kolonialna“, złożona z premierów wszystkich samodzielnych kolonii angielskich, oraz członków rządu centralnego. Z inicjatywy Chamberlaina odbyto już kilka podobnych konferencji, korzystając z przybycia premierów kolonialnych z okazji uroczystości dworskich, jak jubileuszu królowej Wiktorii i koronacji Edwarda VII. Obecna jest jednak pierwszą, zwołaną *ad hoc* i, jako taka, ma specjalną doniosłość. Głównym przedmiotem obrad będzie stworzenie stałej rady imperyalnej, złożonej z przedstawicieli kolonii i rządu centralnego, dla rozstrzygania spraw, dotyczących stosunków wzajemnych kolonii z metropolią. Poza tem dyskutowane będą wnioski, dotyczące przywilejów celnych, udzielanych przez kolonie metropolii, sprawy służby wojskowej i wydatków na flotę i wojsko i t. p. Decyzje konferencji będą oczywiście miały charakter rezolucyj a nie postanowień i będą musiały być poddane pod dyskusję parlamentów. Znaczenie konferencji jest więcej demonstracyjne. Jest to krok, przygotowujący opinię do zjednoczenia imperyalnego, tak upragnionego przez Chamberlaina; konsekwencją takiego kroku będzie musiała być jakaś konkretna instytucja, uosabiająca jedność imperyum. Stanowisko opinii jest bardzo przychylne. Uczestnicy konferencji są entuzjastycznie witani i podejmowani.—Obecny jest, między innymi, generał Botha, któremu urządzono owację, gdy wysiadał ze statku w Southampton. Przemawia on po holendersku — przez tłumacza, w duchu brytańsko-imperyalistycznym. Z nim w tej samej konferencji bierze udział jego były przeciwnik z pola walki, dr. Jameson, obecny premier Kraju Przylądkowego.

Prasę polityczną całego świata obiega z różnem oświetleniem rezultat spotkania w Kartagenie—porozumienie Anglii z Hiszpanią. Anglia daje pieniądze na konwersję rent hiszpańskich i gwarantuje obronę brzegów Hiszpanii, która w zamian za to porządkuje swoją armię, marynarkę i fortece, zapewniając Anglii na wypadek wojny podstawy operacyjne dla jej floty. Sprzymierzone państwa zamierzają wciągnąć do swego związku jeszcze Włochy i Francję, w celu utworzenia unii śródziemnomorskiej, wzajemnej asekuracji brzegów. Jeżeli zestawić z tem wiadomość o ciągłych uprzejmościach Anglii względem Rosyi, zapowiadane już tylekrotnie, a teraz już blizkie zawarcie umowy, regulującej sporne punkty w polityce państw obu, to przyjdziemy do przekonania, że tworzy się powoli związek wszystkich państw przeciwko Niemcom, związek, którego inicjatorką i przewodniczką jest Anglia. Dlatego

teraz prasa niemiecka, nawet półurzędowa, wychodzi czasem z równowagi, mówiąc o polityce angielskiej. Przewaga wpływów angielskich na dworze rosyjskim byłaby pożądana jeszcze ze względu na bieg polityki wewnętrznej Rosyi, na wzmocnienie i utrwalenie ustroju parlamentarnego. Niestety, nawet gdyby sceptycznie traktować sensacyjne doniesienia korespondentów petersburskich o wpływie dyplomacji niemieckiej na blizkie jakoby rozwiązanie Izby, trzeba przyznać, że w wyższych sferach Petersburga wiatr ciągle jeszcze raczej ciągnie od Berlina.

Radykalizm w absurdowych konsekwencjach swoich dochodzi często do śmieszności. Oto świeży przykład. W drugim tygodniu maja miasto Orlean święci corocznie w bardzo uroczysty sposób pamięć Joanny d'Arc i wyswobodzenia przez nią Francji od najazdu angielskiego; uroczystość podnosił zwykle udział władz cywilnych i wojska. W r. b. prezes ministrów, Clémenceau, zabronił uczestniczenia w uroczystości osobom urzędowym na tej zasadzie, że odbywa się pod naczelnem kierownictwem duchowieństwa, które dziś zajmuje stanowisko wrogie wobec rzeczypospolitej. Nie pomogły deputacje z Orleanu i różne inne przedstawienia: prezes ministrów pozostał nieubłagany, zamierza tylko w obawie stracenia popularności urządzić drugi obchód ku czci Dziewicy Orleańskiej, konkurencyjny, świecki i oficjalny. Jest to wprowadzanie waśni wewnętrznej do tej dziedziny życia, która powinna być symbolem jedności narodu, do obchodów narodowych pamiątek. Tak wygląda tolerancja radykalna w życiu, nie w programach państwowych.

U W A G I.

W szerokich sferach społeczeństwa polskiego panuje przekonanie, że socjalizm w kraju naszym, aczkolwiek w czasach ostatnich „zeszedł na manowce“ (tak określa się u nas delikatnie objawy bandytyzmu i anarchii), zdołał jednak w licznych rzeszach, jego zasadom hołdujących, wzbudzić głębokie i uświadomione dążenie do pracy nad poprawą bytu swojego, że więc w ten sposób założył podwaliny pod wielki gmach nowej i sprawiedliwszej organizacji społecznej. Poglądowi temu hołdują nawet jednostki, skądinąd zupełnie wrogo względem socjalizmu usposobione.

A oto ilustracja, stanowiąca wymowny komentarz do powyższego poglądu. Od chwili wydania nowych przepisów o stowarzyszeniach, powstała w kraju naszym cała sieć związków zawodowych robotniczych, specjalnie poświęconych pracy nad obroną interesów ludu pracującego, pozbawionych jakiegokolwiek elementu agitacji politycznej, kierowanych i prowadzonych przez samych robotników. Zdałoby się, iż stronnictwa socjalistyczne, jeśli już nie chcą zachęcać członków do wstępowania do owych związków, nie przez nich założonych, to przynajmniej same zabiorą się do

stworzenia podobnych organizacji z chwilą, gdy prawo na to pozwala. W rzeczywistości stało się przeciwnie: socjaliści nie tylko sami nie chcą wykroczyć poza ramy ukrytej agitacji politycznej, od czasu do czasu operującej hasłami poprawy bytu robotniczego, lecz dopuszczają się względem związków zawodowych istniejących i rozwijających się doskonale—najhaniebniejszego teroru. Ze źródeł bezpośrednich otrzymujemy wiadomość, że członkowie zarządów związków zawodowych, a zatem najwybitniejsi przedstawiciele warstwy robotniczej, bezustannie odbierają wyroki śmierci; w obronie życia swego zmuszeni są do stosowania specjalnych ostrożności przy spełnianiu czynności, z obowiązkami ich związanych.

Tak przedstawia się stosunek partii „robotniczych” do najwybitniejszego objawu dążeń na polu poprawy bytu materialnego i moralnego warstwy pracującej.

Czy długo jeszcze mówić u nas będziemy o socjalizmie, jako obrońcy robotnika?

V A R I A.

Eksperymenty socjalistyczne. Korespondent *Timesa* z Nowej Zelandyi pisze, że pracodawstwo robotnicze tamtejsze, niezmiernie postępowe, nie zdołało jednak zabezpieczyć przemysłu tamtejszego przed strajkami. Istnieją tam państwowe Izby Pojednawcze, do których zwracać się mają robotnicy i pracodawcy w razie jakichkolwiek sporów. Izby te mają szerokie atrybucje, zadaniem ich jest nie tylko sądzić i godzić, ale mają prawo karać i nakazać wykonanie wyroku siłą państwową. Słowem, jest to próba państwowej regulacji płac i warunków pracy. Instytucja ta była wywołana przez groźne strajki, które szerzyły się w Nowej Zelandyi w ostatnich latach zeszłego wieku. Rezultaty jej z początku były dobre i skłoniły rozmaitych ideologów do opisywania Nowej Zelandyi, jako ziemi obiecanej dla przemysłu i robotników. — Tymczasem korespondent *Timesa* dowodzi, że dobre rezultaty były tylko chwilowym wynikiem pomyślnych konjunktur, które pozwalały pracodawcom spełniać wysokie nawet wymagania Izb Pojednawczych. Złe warunki handlu i przemysłu z natury rzeczy niechętnie usposobiły przemysłowców do Izb Pojednawczych. A i robotnicy widząc, że pracodawcy są w potrzebie i niebezpieczeństwie, woleli uciekać się do strajków, aby zmusić pracodawców do przyjęcia warunków, podyktowanych przez siebie samych, a nie przez jakieś tam Izby Pojednawcze. W ostatnich latach było kilka groźnych strajków, które wszystkie skończyły się zwycięstwem robotników, bez żadnego udziału Izb Pojednawczych. Ze strony robotników by-

ło to bezprawie, ale cóż na to poradzić? kar nie mają z czego płacić, a uwięzienie ich byłoby ze szkodą dla pracodawców potrzebujących rąk. Pracodawcy czują się w położeniu mocno niepewnym; gdy bowiem nowy system wytrącił oręż walki z rąk pracodawców, zmuszając ich do zaniechania jej na korzyść pokojowego porozumienia, nie uczynił tego samego z robotnikami, dla których nowy system nie posiada faktycznie przymusu.

NOWE KSIĄŻKI.

- Wacław Berent*: Próchno. Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. Str. 323.
- A. Kahy*: Duchy rewolucji. Kraków, 1907. Gebethner i S-ka. Str. 18.
- Marya Zabojecka*: Gromnice. Powieść. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. Str. 333.
- Kazimierz Lubecki*: Sonety wschodnie. Kraków, 1907. Gebethner i S-ka. Str. 23.
- Władysław Grabski*: Koło Polskie, sprawa agrarna i ruch wolnościowy w Rosyi. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. Str. 39.
- Bolesław Koskowski*: Niebezpieczeństwo niemieckie. Warszawa i Kraków, 1907. Gebethner i Wolff. Str. 102.
- Starzewska*: Kooperacya spożywcza (spółdzielnictwo) i jej zastosowanie w kraju naszym. Kraków, 1906. Druk „Czasu”. Str. 60.
- Włodzimierz Perzyński*: Majowe słońce. Lwów, 1907. Nakł. księgarni Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 24.
- Antoni Bassara*: Z pod trzech zaborów, obrazek sceniczny w jednym akcie. Wojna narodowa, obr. scen. w jedn. akcie. Lwów. Nakł. księg. Maniszewskiego i Kędzierskiego. Str. 22.
- Walerya Szalay*: I. Raclawice, obrazek dramatyczny w jednym akcie. II. Przed siedmiu wiekami. Obr. dram. w jedn. akcie. Lwów. Nakł. księgarni Maniszewskiego i Kędzierskiego. Str. 23.
- Franciszek Barański*: Wśród gwiazdek. Obr. scen. w jedn. akcie. Lwów. Nakł. księg. Maniszewskiego.
- Dzeteo*: Miłość. Szkic powieściowy. Lwów, 1907. Księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 137.
- J. Sassenbach*: Święta Inkwizycya. Przeł. H. S. Kraków, 1907. Druk. Narodowa. Str. 157.
- Ratunek dla nerwowych*. Kraków, 1907. Nakł. Towarz. Hygienicznego. Str. 32.
- Stanisław Rutkowski*: Co zdobyli pracownicy rolni w Galicyi, a do czego powinni dążyć w Królestwie. Warszawa, 1907. Księg. Naukowa. Str. 21.
- J. Ciembroniewicz i A. Szycówna*: Kwiaty i dzieci. Warszawa, 1907. Nakł. tyg. „Szkoła Polska”. Str. 80.

Prenumeratę przyjmują w Warszawie: księgarnie, kantor gaz. „Goniec Poranny i Wiczcorny” (Zgoda 5), kantor „Narodu” (Szpitalna 1); we Lwowie: Agencja czasopism A. I. Kojata (pasaż Mikolasza 3); w Krakowie: p. Stefan Bernacki (Długa 5) oraz Agencja Hopcasa i Salomonowej; w Kijowie: Administracya „Dziennika Kijowskiego” (ul. Proreznia 9); w Łodzi: kantor J. Sutorowskiego (Piotrkowska 8). Na Łódź ceny warszawskie.

Za redaktora WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

Wydawca GUSTAW SIMON.

Druk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70. Telef. 27—73.

Ogłoszenia.

8-io kl. Szkoła,

założona przez mieszkańców
Ziemi Mazowieckiej
Warszawa, ul. Hoża Nr. 27.

Egzaminy wstępne rozpoczną się d. 3 Czerwca.
Wysokość wpisów: kl. przyg. rb. 100; I, II i III
rb. 120, IV i V rb. 130 rocznie. Program gimna-
zjum filologicznego bez języka greckiego.

WYDAW. GEBETHNERA i WOLFFA.

- KOSKOWSKI B. **Polityka gminna.**—Rozwój życia gminnego.—
Obszar terytoryalny gminy wiejskiej.—Sprawy szkolne.—
Sprawy robotnicze.—Polityka gruntowa.—Kwestya mie-
szkaniowa.—Podatki.—Ochrona stanu średniego.—Komu-
nikacye.—Przedsiębiorstwa.—Stosunki zdrowotne.—Za-
kłady kredytowe.—Komisyje socyalne. 1.20
— **Niebezpieczeństwo niemieckie.** —.20
KOSZUTSKI St. **Podręcznik ekonomii politycznej.** 1.20
RALFIGH T. **Elementarne zasady polityki.** Przeł. z ang. dr. J.
Polak. —.60
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty wygłoszone przez 11
prelegentów w Wydziale wychowawczym Warsz. Towar-
zystwa higienicznego. I. 1.—
STECKI JAN. **Zasady ogólne ekonomii społecznej.** Wyd. 2-gie,
przejrzone i poprawione. —.60
— **W sprawie autonomii Królestwa Polskiego.** —.30
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WYDAW. GEBETHNERA i WOLFFA.

- DUBIECKI M. **Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas po-
wstania styczniowego 1863—1864.** Wyd. 2-gie, powię-
kszone z 3-ma ryc. 1.50
GAWALEWICZÓWNA GUSTAWA (Toporeczanka). **Listki.** Uryw-
ki korespondencyi z przedmową Bol. Prusa. —.80
JESKE-CHOIŃSKI T. **Błyskawice.** Powieść historyczna z cza-
sów rewolucyi francuskiej. 1.50
KAMIŃSKI A. **Wiosenny poranek.** Z notatek lekarza waryatów.
Z rysunkami autora. 1.50
PAPÉE Fr. dr. **Studia i szkice z czasów Kazimierza Jagielloń-
czyka.** 2.40
STRUVE H. **Filozofia polska w ostatnim dziesięcioleciu (1894—
1904).** Przeł. z niem. Kaz. Król. —.75
WYSPIAŃSKI St. **Skalka.** Dramat w 3 aktach. 1.—
ZABOJECKA MARYA. **Gromnice.** Powieść. 1.20
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Bolesława Schoen-Wolskiego

Z MIŁOŚCI DO SWOICH

z przedmową K. Laskowskiego



CENA Rub. 1.



Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Rok XXXI istnienia.

Najtańsza i najobfitsza ilustracya narodowa

BIESIADA LITERACKA

POD REDAKCYĄ

Władysława Maleszewskiego
i Michała Synoradzkiego.

Wydawca—Albin Józef Niemira.

Obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej, chwilę
bieżącą wszechświatową, wiedzę gruntowną w formie po-
pularnej, politykę, wychowanie, słowem wszystko, co
stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej
uwzględnia dzieje ojczyste.**

Z początkiem roku 1907 „Biesiada” drukuje: *Maryana
Gawalewicza* powieść „WIR”, na tle zamętu społecznego; histo-
ryczną — *Wiktora Gomulickiego* „KUR PIEJE”, na tle
powstania listopadowego; społeczną — *Maryi Rodziewi-
czówny* „TAK ZWANI GŁUPI” i „OBYWATEL”; opo-
wiadania historyczne: *Maryana Dubieckiego* „CIENIE PRZE-
SZŁOŚCI”, wspomnienia z r. 1863; *Aleksandra Kraushara*
„Z PAMIĘTNIKA”; *Kazimierza Bartoszewicza* „OSTATNIA
WOJEWÓDZINA WILEŃSKA”; *Michała Synoradzkiego*
„LITWA W DOBIE OSTATNIEGO POWSTANIA” i „SPRA-
WY UNICKIE NA LITWIE I RUSI”; felietony społeczne
Kazimierza Bartoszewicza, *Zdzisława Dębickiego*, *Wiktora
Gomulickiego*.

W dodatku „Wieczory Powieściowe” cykl powieści *Bolesławy
(J. I. Kraszewskiego)* z czasów *kościuszkowskich i ruchu
narodowego z przed lat czterdziestu*.

Wszyscy całoroczni prenumeratorzy „Biesiady” otrzymają w ro-
ku 1907 **bezpłatnie premium-pamiątkę**: dzieło ilustrowane pod
tyt. „POLACY NA POLU CHWAŁY”, zawierające szereg opo-
wieści dziejowych z okresu poroźbiorowego. Dzieło to będzie
niejako skarbcem narodowej ofiarności, zasługi i bohaterstwa.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Biesiada Literacka“ w Warszawie:	„Biesiada Literacka“ z „Wieczorami Powieściow.“ w Warszawie:
Rocznie rb. 5, kwartalnie rb. 1,25, z przesyłką pocztową:	Rocznie rb. 6,50, kwartal. rb. 1,63, z przesyłką pocztową:
Rocznie rb. 6, kwartalnie rb. 1,50.	Rocznie rb. 8, kwartalnie rb. 2.
Zagranicą: Rocz. rb. 8, Kwart. rb. 2.	Zagranicą: Rocz. rb. 10; półr. rb. 5.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Pl. Warecki 4.

Na żądanie, Adm. Biesiady wysyła numer okazowy bezpłatnie.

Księgarnia G. CENTNERSZWERA i S-ki w Warszawie

poleca jako nowość:

Dr. STANISŁAW GARSKI:

System filozofii

ZAGADNIENIA WSTĘPNE.

TREŚĆ:

Obecny kryzys we filozofii. Określenie filo-
zofii. Podział filozofii i stosunek jej do nauk
szczegółowych. Filozofia a psychologia. Filozofia
a religia. Plan systemu.

Cena Rb. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.